

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.

Tłumaczył z języka francuskiego K. W.

11

Ciąg dalszy.

— Przedewszystkiem muszę się panu usprawiedliwić — rzekł Saint Briac — że ośmielałem się niepokoić pana odwiedzinami. Byłem pewien, że panowie przekonaliście się dostatecznie o pomyłce i że będziecie się poczuwali do obowiązku okazać mi to przy sposobności, a przytem też zapragniecie, z równą co na wieży gorliwością, zająć się prawdziwym zbrodniarzem. Być może, iż się mylę, zatem z całym zastrzeżeniem chcę mówić o człowieku, wielce mi podejrzanym. Może się mylę, że on jest poszukiwanym mordercą, a nie mylę się w tem, że jest niegodziwcem. Tego człowieka widuję w klubie, gdzie bywa niemal codziennie. Byłoby może potrzebne, czy pożądané, aby ten pan, co widział, jak rzucono nieszczęśliwą kobietę z wieży, zechciał przyjrzeć się podejrzanemu.

— Myśmy go już widzieli — odezwał się Meriadec.

— Jak wygląda? — zapytał ciekawie Saint-Briac.

Baron opowiedział o przygodzie w mordzie i dał opis człowieka, w którym Szasza poznał swego ojczyma.

Fabrequette przerwał:

— Ej co tam opisy, słowa, frazesy. Oto najlepszy opis.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni szkic portretu wcale wyraźny.

— Może to on?

— Hrabia Zweimark — zawołał Saint-Briac.

— A widzicie! lepszy pędzel od języka. Sko-rom tylko dopadł papieru i ołówka, zaraz odrysowałem sobie z pamięci tego wilka.

— Sądze, że należałoby się jeszcze upewnić — rzekł doktor. — Niech ten mały Rosyanin przypatrzy się szkicowi. Jeżeli on pozna w nim swego ojczyma, stwierdzonem będzie podobieństwo szkicu.

Meriadec przyprowadził Szaszę. Gdy mu szkic pokazano, zawołał:

— To on, co mi mamę gdzieś schował! To on, ten Niemiec, mój ojczym.

— Hrabia Zweimark — odpowiedział Saint-Briac.

— Jaki hrabia? On nie jest żadnym hrabią — odpowiedział Szasza.

— Jakże się nazywa ojczym? — zapytał Meriadec.

— Ja nie wiem. Mama mówiła mu: „Guilhomme“ po francusku. Służba nazywała go rozmaicie, najczęściej mówiła: pan Niemiec. Mikołaj Trofimowicz powiedział raz, że to żaden szlachcic, tylko prosty Niemiec. Raz tylko zobaczyłem kowertę z listu, do niego pisanego. Na kowercie był adres: „Wilhelm Kennemann“. To sobie dobrze zapamiętałem.

— Nowa zagadka — rzekł Meriadec.

Szaszę odprowadzono do Rozalii, z którą się na dobre zaprzyjaźnił i radzono dalej.

Gdy kapitan opowiedział o nocnej wycieczce hrabiego fiakrem na ulicę Marboeuf, rzekł Meriadec:

— Z tego, co mi Szasza opowiadał, domyślać się można, że ich zawieziono w nocy właśnie na ulicę Marboeuf. Opowiadał, że jechali w górę, po spadzistej ulicy. Wszystkie szczegóły, które zapamiętałem, przemawiają za tem, że to była ta ulica. To przypuszczenie potwierdza nocna wycieczka, tak zagadkowa. Prawdopodobnie tam jest istotna siedziba, czy nora zbrodnicy i tamby go pochwycić trzeba.

— Ja to zrobię — zawołał Fabrequette — ja się do tej nory dostanę.

— Przedewszystkiem — rzekł Daubrac — trzeba podejrzanego pokazać Szaszy. Skoro bywa w klubie, możnaby malca gdzieś ukryć w pobliżu, o tej porze, gdy do klubu zwykł chodzić. Możeby pan Saint-Briac wziął malca w opiekę i pod klubem straż zaciągnął.

— Wybaczcie panowie, że ja tego nie uczynię. Mówiłem panom zupełnie szczerze, iż nie mogę ściągnąć na siebie podejrzenia tego człowieka. Nie lękam się o siebie, jeno o niewinną kobietę, którąby skompromitował, gdyby dostrzegł, że go śledzę, przy tej sposobności raz jeszcze upraszam panów, abyście działali tak, żeby moja osoba została na uboczu.

— A więc poprosimy pannę Verdier — rzekł Meriadec.

Zgodzono się na to.

Narady nie trwały długo. Nasunęły się dwa zadania. Sprawdzić, czy hr. Zweimark i ojczym Szaszy są tą samą osobą i zbadać tajemnicze mieszkanie przy ulicy Marboeuf.

Saint-Briac ponownie prosił, aby jego nazwiska nie wymieniano nigdzie, aby go też nie odwiedzano w mieszkaniu. Był pewien, że Zweimark ma wspólników zbrodnicy życia, a wspólnicy tworzą też dobrze zorganizowaną szajkę szpiegów, śledzących każdego, kto im w drogę wchodzi. Przekonała go o tem nocna przygoda.

Przyrzeczono mu najściślejszą dyskretyę. Pożegnali się.

Gdy kapitan wychodził, tak był zamyślony, że nie dostrzegł jakiegoś ciekawca, co z drugiej strony ulicy uporczywie w dom barona się wpatrywał.

V.

Po tej naradzie wojennej wyszedł Daubrac z Fabrequette. Daubrac zdążył na obiad, a malarz wciąż mu towarzyszył, chociaż doktor nie bardzo sobie tego życzył. Może nawet cokolwiek się do malarza uprzedził, tłumacząc sobie nie bardzo korzystnie jego roztrzęsanie. Chcąc się go pozbyć, rzekł Daubrac sucho i stanowczo:

— Pożegnaj pana, gdyż idę na obiad.

— Jaki pan szczęśliwy! — rzekł malarz żartobliwie.

— Chyba to szczęściem nie jest, jeżeli się je obiad.

— Ale nieszczęściem, jeżeli się nie je obiadu.

— Chyba tego nieszczęścia pan nie doświadcza?

— Ależ panie, bardzo często. Dziś także grozi mi takie nieszczęście.

Doktor nie umiał sobie wytłumaczyć, czy to pieczeniactwo przemawia przez malarza, czy też łobuzowska szczerość. Kierując się w życiu raczej optymizmem w sądzeniu ludzi, niż podejrzliwością, skłonił się Daubrac do mniemania, że z ust malarza przemawia tylko szczerość i prostota.

— Czy pędzel tak mało daje dochodu?

— Bywa rozmaicie. W zeszłym miesiącu wymalowałem masarzowi szyld, wiernie według jego własnego pomysłu. Była na nim głowa wieprza, dwie kiełbasy i cztery kiszki. Może pan sobie wyobrazić, jakie to arcydzieło. Otrzymałem za nie piętnaście franków, na czysto trzy franki więcej, niż farby kosztowały. Ale byłbym niedzięczny, gdybym nie dodał, że wspaniałomyślny masarz, obdarza mnie codziennie porcjąką wędlin. Ale niechże też pan nie myśli, że ja tylko godła masarskie maluję. Owszem! zdarza mi się niekiedy malować i portret. Moja praczka dała mi zarobić znaczną kwotę, bo aż trzydzieści franków; wymalowałem jej portret syna, który służy w straży pożarnej. Ale cóż z tego, kiedy z owych trzydziestu franków odciągnęła sobie dwadzieścia siedm za pranie bielizny, przez cały rok.

— Lepszej klienteli pan znaleźć nie może?

— Możeby się i znalazła, ale na to potrzeba mieć ubranie cośkolwiek modniejsze od mojego, wyrabiać sobie stosunki pośród dziennikarzy, zjednać sobie reklamę, no i nadać się cośkolwiek, ustroić się w wielką powagę, a ja tego wszystkiego nie umiem. Ale co tam, z głodu nie zgine, masarz wędlin dostarcza.

— A możeby pan dziś pozwolił, dla odmiany, zaprosić się na obiad, bez wieprzowiny — rzekł Daubrac, któremu łobuzowska szczerość Fabrequette podobać się zaczęła.

— Nie zła myśl, panie doktorze. Przyjmuję chętnie to zaproszenie, jako zadatek na jakąś robotę, którą pan u mnie zamówi.

— I owszem, z całą przyjemnością skorzystam z talentu pańskiego.

Weszli do jednej z przedniejszych restauracji, gdzie było dość pusto, bo już właściwa pora obiadowa minęła.

— Doskonale nam się wydarzyło, że nie ma prawie nikogo, będziemy tu mogli swobodnie rozmawiać. Siadźmy sobie tutaj w samym kącie. Gdyby nawet kto jeszcze przyszedł, to mielibyśmy przynajmniej sąsiada przed sobą, a nie za sobą.

Zasiedli wygodnie, Daubrac zamówił obiad, który malarzowi wydał się niesłychanie zbyt kłowny. Potem zaczęli rozprawiać o planach wojennych.

— Powiadam panu — rzekł Fabrequette — że ja znajduję tendom na ulicy Marboeuf. Tam musi być jaskinia jakichś łotrów.

— Niech pan nie mówi tak głośno — szepnął Daubrac — bo oto mamy już sąsiada.

Jakiś niepozorny człeczyzna szedł wciąż za nimi, czego na ulicy nie spostrzegli, a teraz usiadł w restauracji obok nich, przy najbliższym stole.

Zamówił jakieś potrawy, wskazując słuzącemu palcem na spisie, a na zapytanie, czy każe sobie podać wino, rzekł głośno:

— Nie słyszę. Co? głośniej!

Słuzący powtórzył pytanie dość głośno, ale przybysz i teraz jeszcze wołał:

— Co? głośniej! Nie słyszę.

Był to człowiek w podeszłym wieku, ze siwą brodą, zgarbiony; na oczach miał założone niebieskie okulary.

— A to głuszc — zawołał Fabrequette. — Przy nim możemy sobie swobodnie rozmawiać.

— Niekoniecznie — szepnął doktor. — Mnie się ta jego głuchota bardzo podejrzanie wydaje.

— Zaraz się przekonamy — rzekł cicho malarz i zawołał głośno: — może to jakiś szpieg udający głuchego.

Stary człowiek widać nie słyszał, bo ani się poruszył, ani nie drgnął i czytał najspokojniej gazetę.

— A widzi pan — rzekł malarz — próba się doskonale udała; żeby nie był naprawdę głuchym, to by był bodaj cokolwiek się poruszył, gdy go szpiegiem nazwał.

— Mimo tego radzę być ostrożnym.

Nie podobna było nakłonić malarza, aby był ostrożnym. Krzykliwy z natury, nie krępował się niczem.

— Wyborna zupa! już ten wstęp do obiadu przejmuję mnie wielką dla pana wdzięcznością. Zaraz zabiorę się do jakiegoś obrazu dla pana, skoro tylko odkryję jaskinię opryszków na ulicy Marboeuf. Ale niech też mi pan powie, dlaczego baron upiera się przy tem, aby działać na własną rękę, a nie chce wezwać interwencji policyi?

— Przecież słyszałeś pan, że Saint-Briac chce zachować w tajemnicy nazwisko kobiety, która z nim była na wieży.

— Ależ czy tak, czy owak policja będzie musiała zająć się tym ptaszkim, bo choćbyśmy go pochwycili, to go przecież nie będziemy więzili w jakiejś piwnicy, tylko oddamy władzy. Właściwie powiedziawszy, to już bardzo prędko możemy go pochwycić. Skoro tylko panna Verdier z tym małym Rosyaninem stanie na czatach przed klubem, fakt będzie dostatecznie wyjaśniony, bo chłopiec zdoła przecież poznać swojego ojczyma.

— Chłopiec może poznać ojczyma, ale to jeszcze nie będzie dowodem, że ten ojczym jest mordercą jego matki. Ja nie mam czasu zajmować się tą sprawą, ale będę bardzo wdzięczny, gdy mnie panowie będziecie o wszystkim informowali.

— Tak, tak, teraz mi czas na ulicę Marboeuf. Spodziewam się, że odkryję jaskinię straszego łotrów.

— Niechże pan tak głośno nie mówi — szepnął doktor, wskazując nieznacznie na sąsiada.

— Ależ to głuszc panie, głuszc.

Stary człowiek skończył obiad, zapłacił i wyszedł.

A widzi pan panie doktorze, że ten człeczyzna to nie żaden szpieg, bo gdyby nim był, toby teraz nie opuszczał lokalu, ale czekał, aż my wyjdziemy, aby nas śledzić.

Doktor i malarz także zjedli i rozeszli się. Daubrac wręczył na odchodnym malarzowi dzieśnię franków i rzekł:

— Zadatek na obraz, który u pana zamówię.

— Łaskawco, doktorze, dzieluy z pana człowiek. W samą porę, bo nie miałem już ani jednego centima.

Daubrac pospieszył do szpitala, Fabrequette zagwizdał wesołą nutę, kupił sobie cygaro i podążył na ulicę Marboeuf.

Puszczał kłęby dymu z wonnego cygara, idąc przez plac Concordia, a potem przez Avenue Champs-Elysees, a gdy już zbliżał się do ulicy Marboeuf, zagasił cygaro, schował je starannie, a natomiast wyjął z kieszeni krótką fajeczkę, napełnił tytoniem i zapalił, aby mieć wygląd zwykłego robotnika malarskiego, poszukującego pracy.

Na początku ulicy Marboeuf był duży warsztat powoźniczy. Fabrequette malował tu niedawno herby i monogramy na powozach, więc wszedł śmiało do warsztatu. Przyjęto go tam życzliwie. Nie gardził robotnikami, rozweselał wszystkich, polubiono go, to też skoro wszedł, powitano go wesoło.

Werkmistrz aż pod boki się schwycił, zobaczywszy wesołego malarza.

— Ho! ho! — zawołał — nasz artysta! Co pan tu porabia?

(Ciąg dalszy nastąpi).